

# Krwawy ślad

## po emeryturze

Jacek Dziekan

1

Nie lubię takich dni. Październikowe chmury kłębią się nad miastem, wiatr zamiata liście z chodników, ponury poranek właściwie już zapowiada wieczór. Jedyne, co mnie trzyma dziś przy życiu, to perspektywa meczu reprezentacji. Byle do ósmej...

Z mieszanki rezygnacji i nadziei wyrwał mnie dźwięk służbowego telefonu. W słuchawce zabrzmiał jakże znany głos Szefa.

– Gdzie jesteś? – wrzasnął.

– W San Diego na plaży, właśnie idę po kawę do hotelu – odpowiedziałem z namaszczaniem.

– Świetnie, a kiedy będziesz na komendzie? – głos Szefa coraz bardziej przypominał pianie kaprala na karnej zbiórce wziętych w kamasze studentów kulturoznawstwa.

– Wypiję kawę, wykąpię się w oceanie, pójdę się przebrać, zarezerwuję przelot – brnąłem.

– Filipie, wiesz przecież, że cierpliwość do ciebie mam na wykończeniu! – tym razem w głosie Szefa dało się słyszeć nutkę rozbawienia.

– Za piętnaście minut. Zaraz wchodzę do metra na Rakowieckiej – odpowiedziałem rzeczowo.

– Nie jedziesz autem?

– Nie, bryka w warsztacie – westchnąłem i zawiesiłem oko na przejeżdżającym obok tramwaju przypominającym bufet.

– To inaczej. Skoro jesteś jeszcze na Mokotowie, jedź od razu na Czerniakowską, w okolicy szpitala Orłowskiego – głos Szefa był już całkowicie spokojny.

– A, pod stary ZUS.

– Jaki stary ZUS? – irytacja znów zawładnęła moim przełożonym.

– Przed wojną w dzisiejszym Orłowskim była pierwsza siedziba centrali ZUS – odparłem, świadomie przyjmując mentorski ton.

– Opowiesz mi o tym innym razem. Masz umarlaka zmasakrowanego młotkiem. Jedź, a po drodze zadzwoń do Boguckiego – zabrzmiała komenda. – Jest tam już z ekipą.

– A moja kawa na plaży w La Jolla? – jęknąłem.

– Mówiłeś, że w San Diego – szef znów luzował.

NIC. TYLKO TEN  
ZAKRWAWIONY  
SKRAWEK.



rys. I. Myszkiewicz

– To najsylniejsza część San Diego – zachotałem.

– Napij się mięty z rumiankiem w barze mlecznym – powiedział już całkowicie przyjaznym tonem.



2

Podkomisarza Roberta Boguckiego zawsze było widać jako pierwszego. Był chudy, nie-

co zgarbiony, z bujną czupryną. Już dawno przyłgnęła do niego ksywa Colombo. Właściwie wszyscy go tak nazywali poza Szefem. Czy nie zgadzał mu się wzrost Boguckiego, czy może chodziło o detektywistyczny spryt serialowego bohatera, którym nie grzeszył raczej nasz podkomisarz – tego nie wiedział chyba nawet sam Szef.



– Łódką pan tu płynął, komisarzu? – zagadnął z przekąsem.  
– Nie, tramwajem wodnym, ale złapała mnie mewa, musiałem dać jej parę śledzi – odgryzłem się nieszczerze finczyjnie. – Co my tu mamy?  
– Starszy jegomość spod pięćdziesiątki dwójki ze zmasakrowaną twarzą. Ze dwadzieścia uderzeń młotkiem w twarzoczaszkę – referował, bawiąc się przy tym zegarkiem na srebrnej bransoletce luźno nałożonym na dłoń zamiast na przegub ręki.  
– Wiemy, kto to? – zapytałem, odnotowując przy tym szybkie obroty zegarka na palcu wskazującym prawej dłoni Boguckiego.  
– No właśnie nie. Sąsiedzi zeznali, że mieszkał tu od dwóch–trzech tygodni. Właściciel kawalerki w tym samym czasie zniknął. Nikt nie widział ich razem. Dokumentów żadnych nie znaleźliśmy. – Kiedy to mówił, busola na jego palcu znieruchomiła.  
– Rachunki, kwity z pralni?  
– Nic. Tylko ten zakrwawiony skrawek. – Podkomisarz Bogucki wyciągnął z wewnętrznej kieszeni tweedowej kraciastej marynarki foliowy woreczek z podłużnym zatraskiem. Zabezpieczał on niewielki skrawek papieru, niemal całkowicie zalany krwią. W prawym dolnym rogu dało się odczytać kilka cyfr i liter. Papierek ewidentnie miał urzędowy charakter.

– Albo fragment jakiegoś pisma urzędowego, albo odcinek czegoś... Nie wiem, z poczty, z ZUS-u? – Sprawa zaczęła mnie na tyle frapować, że przestałem zwracać uwagę na bezwiedne igraszki dłoni podkomisarza i jego zegarka.  
– Socha mówi, że rzeczywiście przypomina mu to odcinek emerytury. Jego matka pobiera. – Tym razem wzrok Boguckiego wyrażał zadowolenie z siebie.  
Schody wiły się spiralnie. Kiedy spojrzałem w górę, balustrady zaczęły coraz szybciej wirować i po kolei odrywały się od podłoża. Natychmiast odwróciłem wzrok i skupiłem się na nogawkach spodni Boguckiego, który szedł przede mną.  
– Rozumiem, że sprawdzacie go po odciskach palców? – znów bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.  
– Jego odcisków nie ma w bazie, wygląda na to, że nie był notowany – mruknął podkomisarz.  
– A inne ślady? – dopytywałem.  
– Odciski właściciela. W zamkniętej na klucz graciarni nie ma odcisków nieboszczyka, więc możemy chyba przyjąć, że należą do kamienicznika – wysapał Bogucki, pokonując ostatnie schody.  
Kawalerka miała podwójne drzwi. Pierwsze otwierały się na zewnątrz, drugie – do wewnątrz. W każdych po dwa zamki gerdy,

w wewnętrznych dodatkowo zasuwa i łańcuszek. Korytarz ciemny, zawalony jesiennymi kurtkami i płaszczami wystającymi z niewielkiej wnęki. Za każdym razem, gdy ktoś tamtędy przechodził, dwa leciwe prochowce łądowały na pociemniałym, choć równym parkiecie.  
– Weźcie coś zróbcie, do cholery, z tymi płaszczami! – ryknął Bogucki.  
– Poruczniku Colombo, to są prochowce. Kto jak kto, ale pan powinien odróżnić płaszcz od prochowca – powiedziałem, przesuując ręką po szarzałej boazerii, która przywołała wspomnienia domu rodzinnego.  
– Komisarzu, czuję się pociśnięty – odrzekł z filuternym uśmiechem, nielicującym bądź co bądź z miejscem zbrodni.  
– Co to za nowomowa?  
– Język moich synów. A na to powiedzieliby: masakra – mówiąc to, skinął głową w geście zapraszającym na pokoje.  
W umeblowanym na styl inżyniera Karwowskiego saloniku leżały zwłoki. Mężczyzna miał na sobie beżowe spodnie przed kolano i rozpinaną białą koszulę z krótkim rękawem. Jej biel przełamowały pionowe szare prążki. Jednak teraz zdecydowanie dominowała czerwień krwi. Koszula miała naszytą kieszonkę, to w niej chłopaki znaleźli zakrwawiony papier.  
– Kto zawiadomił policję? – zapytałem.  
– Młoda kobieta, która mieszka po sąsiedzku, w klatce obok. Słyszała wieczorem jakieś dziwne odgłosy. Dopiero rano zdecydowała się sprawdzić, czy nic się nie stało. Drzwi były otwarte, weszła i odkryła zwłoki – zrelacjonował Bogucki.  
– Morderca najpierw się z nim szarpał, a później zmasakrował młotkiem? – powiedziałem ni to do siebie, ni do Boguckiego. Omiotłem wzrokiem przestrzeń między kanapą w czerwono-niebieską kratę, fotelem przykrytym burym pledem z długimi frędzlami, a małym stolikiem, na którym leżała przewrócona szklanka, a obok stały dwie fiołki z lekarstwami i popielniczka na wpół wypełniona łupinami ziaren słonecznika. Reszta łupin zaśmiecała z ćwierć wypłowiałego tureckiego dywanu.  
– A może chciał upozorować zabójstwo w afekcie? Zabił z zimną krwią, a później poznęcał się nad twarzą, żebyśmy pomyśleli o nim jako o osobie bliskiej denatowi – mówiąc to, Bogucki nie odrywał wzroku od zwłok.  
– To by wskazywało na osobistą zemstę, wcześniej drobiazgowo zaplanowaną. Dobra, Colombo, zostań tu z chłopakami, póki nie skończą roboty. Ja jadę do ZUS-u. – Odwróciłem się na pięcie i zacząłem iść w kierunku wyjścia.  
– A po co? – zdziwił się Bogucki.  
– Przecież sam mówiłeś, że naszym jedynym jak na razie dowodem może być odcinek emerytury – rzuciłem, nie odwracając się.

## 12 października 1939, czwartek

Od kilku dni porządkujemy pozostałe akta i dokumenta. Dziś dotarła do nas wiadomość, że nasz przedwojenny Dyrektor Naczelny, Tadeusz Dyboski, zmarł podczas podróży do Francji.

Obowiązki Naczelnego Dyrektora przejął dotychczasowy dyrektor naszego poznańskiego oddziału, pan Stanisław Sasorski. Niestety, nie na długo. Wczoraj przyjechało dwóch Niemców – Waldemar Jonzeck i niejaki Görlich. Usunęli dyrektora Sasorskiego. Teraz Jonzeck będzie komisarzem, a Görlich – jego zastępcą. Dyrektorem ma zostać Zbigniew Skokowski. To nasz wybitny fachowiec od ubezpieczeń. Ma odpowiadać za wewnętrzną pracę i zgłaszać wnioski do kierownictwa niemieckiego. Wszelkie rozstrzygnięcia i ostateczne decyzje podejmować będą Niemcy.

W pierwszym dniu urzędowania komisarz wezwał wszystkich pracowników do holu głównego i odczytał nam po niemiecku zarządzenie o odpowiedzialności polskich pracowników za nienależyte wywiązywanie się z obowiązków względem Rzeszy Niemieckiej. Każde przewinienie będzie surowo karane, a próba sabotażu zarządzeń grozi śmiercią. Wszyscyśmy pobledli na te słowa i patrzyliśmy po sobie z przestachem. Językiem urzędowym ma być niemiecki. W biurze nie wolno nam mówić po polsku. Niemieckiego uczyłam się trochę w szkole, więc rozumiałam, co mówił komisarz, ale trudno mi będzie tak zaraz wszystkie sprawy prowadzić po niemiecku. Każdy z nas będzie musiał podpisać deklarację, że zapoznał się z tymi zarządzeniami i że będzie lojalny w stosunku do administracji niemieckiej. Dodatkowo trzeba będzie podpisać oświadczenie o „pochodzeniu aryjskim”.

Po tym wszystkim wróciliśmy do swojego pokoju. Pani Róża się rozplakała – powiedziała, że chyba nie będzie mogła podpisać tego oświadczenia, bo jej mama była z domu Rozenblum. Jej tata był Polakiem, ona nawet została ochrzczona i wzięła ślub w kościele, ale boi się, że zwolnią ją z pracy. Pocieszyliśmy ją wszystkim, ale biedna pani Róża długo nie mogła się uspokoić. Mówiliśmy po polsku, ale tak cicho, żeby nikt nie mógł nas słyszeć. Basia stała przy drzwiach i patrzyła, czy kto korytarzem nie idzie.

*Z pamiętnika młodego pracownika*

3



Policyjnym oplem, kierowanym przez młodego posterunkowego w okrągłych okularach, który przypominał Cezarego Pazurę z pierwszej części „Psów”, zajechałem na parking oddziału ZUS przy tak zwanej nowej Czerniakowskiej (ten fragment ulicy został wytyczony po wojnie, w ciągu Wisłostrady).

W sekretariacie przy komputerze siedziała urodziwa blondynka. Kiedy popatrzyła na mnie, pomyślałem o lodowisku na Torwarze.

– Zastałem dyrektora? – zapytałem, jak mi się wydawało, tonem równie zimnym co jej spojrzenie.

– Ma naradę. Pan w jakiej sprawie?

Wyjąłem policyjną blachę. Zadziało: oczy pięknej blondynki nabrały ciepłego blasku, a narada natychmiast się skończyła.

– Proszę chwileczkę poczekać, panie...

– Komisarz Filip Mardoł.

– ...miło mi, panie komisarzu. Już uprzedzam dyrektora, że pan czeka.

Gabinet wydawał się za mały jak na pokój dyrektora oddziału ZUS. Natomiast ciemne masywne biurko stojące pod oknem sprawiało wrażenie opuszczonego. Dyrektor, szczupły mężczyzna przed czterdziestką w ciemnognatowym, dobrze uszytym garniturze, chyba czytał w moich myślach.

– Dziwi pana brak papierów i teczek? Ale jest komputer, to wystarczy. Nasz zusowski workflow daje radę. – Uśmiechnął się odrobinę protekcjonalnie.

– Zazdroszczę. Ja na swoim biurku buduję z teczek estakady i dwupoziomowe skrzyżowania. Kiedy stawiam kubek z kawą, dyrektora dróg i autostrad każe wykonawcy rozebrać jeden z węzłów. Inaczej musiałbym trzymać kawę na kolanach.

– Humor panu dopisuje, inspektorze – roześmiał się dyrektor z dającą się wyczuć rezerwą, co akurat bardzo mi odpowiadało.

– Komisarzu – sprostowałem z uśmiechem na ustach, wnosząc swój wkład do stworzenia atmosfery przyjaznego dystansu.

– A przepraszam, to zusowskie przyzwyczajenia, mamy tu cały zastęp inspektorów, komisarzy niestety nie. Co pana do mnie sprowadza?

Wyjąłem z kieszeni marynarki folię z zakrwawionym drukiem. W oczach dyrektora odmalowało się zdziwienie pomieszczone z zaciekawieniem.

– Ten skrawek znaleźliśmy dziś przy ofercie morderstwa, niedaleko stąd, w sąsiedztwie przedwojennej siedziby ZUS-u. Mamy pewne podejrzenia, co to może być. – Kiedy to mówiłem, dyrektor spoglądał na mnie ze skupieniem graniczącym z nabożnością.

– Rzeczywiście, wygląda na odcinek emerytury – niemal wyszeptał.

– Jest pan pewien? – Spojrzałem mu głęboko w oczy.

– Zaraz poproszę, żeby przyniesiono nam coś do porównania.

Pięć minut później sekretarka przyniosła druczek, obdarzając mnie przelotnym spojrzeniem błękitnych oczu. Topniałem pod jej wzrokiem błyskawicznie.

– Panie komisarzu, słucha mnie pan? Niech pan tylko spojrzy, jeśli zakryć tę część, która w pana egzemplarzu jest zakrwawiona, to prezentują się bardzo podobnie – dyrektor już nie szeptał, ale jego głos nadal zdradzał podekscytowanie.

– Tak, to chyba jest właśnie to. A czy widoczne tu cyfry coś nam mówią? Nie możemy zidentyfikować ofiary, dlatego próbujemy iść śladem tego papierka – wyjaśniłem.

– Ale zna pan adres tej osoby? – zapytał przytomnie dyrektor.

– I tak, i nie. Tam, gdzie go znaleźliśmy, mieszkał od dwóch tygodni, nie był zameldowany. Właściciel mieszkania przepadł jak kamień w wodę. – Nie musiałem tego mówić, ale uznałem, że nie ma sensu okazywać mu braku zaufania.

– Jaki to adres?

– Czerniakowska dziewiętnaście, mieszkania pięćdziesiąt dwa. – Byłem konsekwentny w transparentności.

– Czyli obok ZUS-u... Ciekawe. – Twarz dyrektora przybrała zaintrygowany wyraz.

– Co pana tak zaciekawiło? – zapytałem lekko poirytowany.

– Bliskość ZUS-u i adres, który związany jest z ubezpieczeniami społecznymi. Dziewiętnaście przecinek pięćdziesiąt dwa procent to wysokość składki emerytalnej wyliczanej od pensji – odrzekł z namaszczeniem.

Tak, to było zastanawiające. Podobnie jak to, że gabinet dyrektora znajdował się na czwartym piętrze, tak jak mieszkanie, w którym zginął ten biedak. Na szczęście w porę ugryzłem się w język.

– Panie komisarzu, muszę zawołać tu ludzi z wydziału emerytur. Zobaczmy, co im powie ten skrawek. – Dyrektor nacisnął guzik biurkowego telefonu.

Po kolejnej półgodzinie spędzonej w gabinecie szefa oddziału ZUS wiedziałem, że odcinek emerytury należał do mężczyzny, a świadczenie zostało przyznane w ciągu trzech ostatnich lat. W dodatku jego beneficjent wcześniej prawdopodobnie pobierał rentę z tytułu niezdolności do pracy, a ZUS przyznał mu tak zwaną emeryturę z urzędu po osiągnięciu przez niego powszechnego wieku emerytalnego. W samej Warszawie takich osób było z pół tysiąca, a w całej Polsce – co najmniej kilkanaście tysięcy. Znalazłem się w ciemnym zaułku. Jeśli nie znajdę właściciela mieszkania, to szybko nie zidentyfikuję ofiary.

Kiedy wychodziłem z budynku, zadzwonił Bogucki.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zapytał, ale od-

niosłem wrażenie, że wcale nie interesuje go odpowiedź.

– Całkiem sporo, ale trudno mówić o przełomie – odpowiedziałem, darując sobie szczegółów.

– To posłuchaj. W klatce obok mieszka dziewczyna, która mówi, że rozmawiała kilka razy z naszym nieboszczykiem. Opowiada ciekawe rzeczy. Przerwałem przesłuchanie, bo wolę, żebyś przy tym był.

– Nie ruszaliście się z Czerniakowskiej składki emerytalnej? – zapytałem.

– Komisarzu... czy aby na pewno dobrze się czujemy? – zająknął się Bogucki.

– Adres, pod którym doszło do zbrodni, kojarzy się dyrektorowi ZUS-u ze stawką składki emerytalnej, która wynosi dziewiętnaście przecinek pięćdziesiąt dwa procent podstawy wymiaru, czyli pensyjki – wyjaśniłem cierpliwie.

– Co za brednie – prychnął Bogucki.

– Brednie albo i nie brednie.



4

Dziewczyna była na oko tuż przed trzydziestką. Szczupła, drobna brunetka z włosami upiętymi w misterny kok. Miała na sobie żółty podkoszulek z granatowymi wypustkami na rękawach i trzema koronami oraz napisem „Sweden” na przodzie, jasne dżinsy i białe trampki. Wyglądała na zdenerwowaną. W rękę trzymała duży beżowy kubek z napisem „Paris” i kilka ma widoczkami z tego miasta.

– Proszę opowiedzieć o okolicznościach, w jakich odkryła pani ciało. – Bardzo starałem się nadać mojemu głosowi jak najspokojniejsze brzmienie.

– Tak jak mówiłam, wieczorem, około dwudziestej trzydziestej, usłyszałam jakiś dziwny stukot zza ściany. Najpierw nieco się tym zaniepokoiłam, ale w końcu poszłam spać. Nad ranem zbudziłam się dosłownie oblana potem i spanikowana, że mojemu sąsiadowi coś się stało. Przemęczyłam się do świtu i pobiegłam do jego mieszkania. Drzwi były otwarte – mówiła z drżeniem w głosie.

– Znała pani zmarłego? Przedstawił się pani? – Niestety nie – odpowiedziała dziewczyna i upiła łyk kawy.

– A mówił pani, skąd jest, co robi w tym mieszkaniu? – drążyłem.

– Powiedział mi tylko, że podoba mu się w Warszawie i może zostanie tu na dłużej.

– Skoro spotkaliście się kilka razy, to o czym rozmawialiście? – zapytałem, wyjmując z kieszeni paczkę gum miętowych.

– O dzieciach. Zobaczył mnie kiedyś z Frankiem, moim podopiecznym, i sam zagadnął.



Krwawy ślad po emeryturze



Najpierw byłam nieufna, ale później okazało się, że zarówno jego syn, jak i wnuki mieszkają w Stanach i on bardzo za nimi tęskni – opowiadała z przejęciem.

– Więc rozmawialiście o dzieciach, ale o czym konkretnie? – zapytałem, zginając dwa listki miętówki na pół, co było moim codziennym rytuałem.

– O tym, jakie są wspianałe, jak się rozwijają, co lubią. Wie pan, to były takie krótkie, ale pogodne wymiany zdań. Nie narzekaliśmy na media, internet, współczesne bajki czy coś takiego. Opowiedziałam mu, na czym polega moja praca niani, i dodałam, że się cieszę, że mogę wykonywać ją legalnie, a nie na czarno – mówiła, grzejąc sobie kubkiem obie dłonie.

– To znaczy? – zapytałem z ciekawością.

– Ten pan nie wiedział, że istnieje coś takiego jak umowa uaktywniająca, którą rodzice dziecka mogą podpisać z nianią taką jak ja. W ten sposób rodzice płacą mi tylko wynagrodzenie, natomiast składki na ubezpieczenie społeczne, z wyjątkiem składki chorobowej, odprowadza do ZUS-u państwo. Dzięki temu mogę pracować legalnie i mam składki na moją przyszłą emeryturę – wyluszczyła.

– Wszystko się kręci wokół ZUS-u – mruknąłem pod nosem.

– Co pan powiedział?

– Nic takiego, mówiłem do siebie. Proszę jeszcze powiedzieć, czy w jego zachowaniu, słowach, wyglądzie było coś takiego, co panią zdziwiło, zaniepokoiło? Proszę się spokojnie nad tym zastanowić – dodałem z naciskiem. Milczała dobrą minutę, gładząc w tym czasie naprzemiennie – to prawym, to lewym kciukiem – krawędź kubkowego ucha.

– Sama nie wiem... – odezwała się w końcu.

– Podczas ostatniej rozmowy staliśmy na podwórku, obok piaskownicy. Zauważyłam, że na parkingu stoi szary samochód, za kierownicą siedział mężczyzna i jakby się przyglądał temu panu. Kiedy teraz o tym myślę, to wydaje mi się, że on rzeczywiście mu się przyglądał, a nie tylko bezmyślnie patrzył, czekając na kogoś w samochodzie.

– To nie był samochód stąd? – zapytałem.

– Nie, na pewno nie. To była skoda, chyba octavia, na pewno kombi. Rejestracja zaczynała się od WZ i chyba na początku były dwie jedyńki, dalej nie pamiętam.

– To i tak sporo. A ten mężczyzna?

– Nie widziałam go zbyt dobrze. W średnim wieku, głowa raczej szczupłego faceta, nosił ciemne okulary... – Starła się jak najwięcej sobie przypomnieć.

– I co było dalej? Kiedy skończyliście rozmowę, dokąd pani poszła i czy ta skoda dalej tam stała? – dopytywałem.

– Nie wiem. Przyjechała śmieciarka, zrobił się ruch, więc powiedzieliśmy sobie do widzenia. Poszłam do kosmetyczki, kiedy wróciłam, skody już nie widziałam.

– Kiedy to było?

– Wczoraj, około szesnastej piętnaście – od-



rys. I. Myszkiewicz

powiedziała bez namysłu.

– Dziękuję pani serdecznie. Będzie pani musiała jeszcze podpisać zeznanie, zgłosimy się do pani.

Kiedy opuściliśmy mieszkanie dziewczyny, spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo.

– Coś mi mówi, że nasz ptaszek jeździ czeskim autkiem – niemal zapiszczał z ekscytacji podkomisarz Bogucki.

– Możliwe. Ale w takim razie to nie zawodzi. Nie wystawiałby się tak bardzo. Dobra, dzwoni do śmieciarzy, mam nadzieję, że fenomen powszechnej inwigilacji wszystkich przez wszystkich nam pomoże – westchnąłem.



5

I nie myliłem się. Już po dwóch godzinach, w czasie których zdążyłem zjeść hamburgera z frytkami i colą, zadzwonić do córki i do warsztatu samochodowego oraz zdać relację Szefowi z postępów śledztwa, namierzył mnie na policyjnym radiu podkomisarz Robert Bogucki.

– Filipie, miałeś rację. Mają kamerki na śmieciarkach. Już go zlokalizowałem. Właściciel skody octavii nazywa się Szymon Krawczyński, mieszka w Błoniu, ma trzydzieści pięć

lat, jest historykiem, pracuje na uczelni. Nie ma rodziny, nie był notowany, zapłacił ze dwa mandaty w życiu. Jedziemy do niego?

– Spokojnie. Ustal jak najwięcej na jego temat. Co lubi, gdzie bywa, czym się zajmuje na tej uczelni. I skontaktuj się z amerykańską ambasadą – poleciłem. – Skoro syn naszego emeryta mieszka za oceanem, to może ktoś zgłosił jego zaginięcie.

Pojechałem do warsztatu na Conrada. Okazało się, że w moim dieslu nawalił filtr cząstek stałych i mechanik chciał mi zaproponować – w cztery oczy, nie przez telefon – jego wycięcie. Odmówiłem i podkreśliłem, że odmawiam nie jako policjant, tylko jako obywatel, który ma elementarne poczucie odpowiedzialności za środowisko.

– Skoro tak, to dlaczego nie jeździ pan elektrykiem albo po prostu rowerem? I pewnie wcina pan hamburgery z wołowiną pozyskiwaną brutalnymi wielkoprzemysłowymi metodami – zaperzył się mój mechanik.

– Wiem, brakuje mi determinacji i konsekwencji, ale błagam, niech mi pan choć ten filtr zostawi na uspokojenie sumienia – jęknąłem pokonany.

Mechanik uśmiechnął się kwaśno i postanowił odebrać dzwoniący rozpaczliwie od kilku minut telefon. Podszedłem więc do automatu, wrzuciłem pięćzłotówkę, wybrałem

cappuccino. Automat zgrzytnął, zasapał i zaczął bucząć, co z grubsza odpowiadało nieco przebrzmiałemu, wysmakowanemu rytuałowi parzenia kawy. Kiedy czekałem na plastikowy – niestety – kubek z wyrobem kawopodobnym, spojrzałem na stertę kolorowych czasopism rozrzuconych na ławie. Wśród magazynów motoryzacyjnych wyłowilem wzrokiem „Przegląd Sportowy”. Już miałem po niego sięgnąć, kiedy tuż obok „Auto Świata” zobaczyłem pisemko „ZUS dla Ciebie”.

– No oczywiście, panie komisarzu. Wszędzie widzimy ZUS. Może jednak pójdziemy się zbadać – mruknąłem do siebie.

Sięgnąłem po gazetkę i zacząłem przeglądać. Obok informacji o wypłacie świadczenia 500+ dla osób niesamodzielnych, nowych funkcjonalnościach na portalu usług elektronicznych ZUS oraz „Lekcjach z ZUS” dla uczniów szkół średnich znalazłem krótki artykuł o zasadach koordynacji świadczeń międzynarodowych. Szczególnie zainteresowała mnie informacja o tym, że na podstawie umowy między Polską a USA osoby, które pracowały w obu krajach, np. najpierw nad Wisłą, a potem nad Potomakiem, mogą liczyć na emeryturę, która będzie uwzględniać staż pracy i tu, i tam.

Sięgnąłem po telefon. Mechanik wprawdzie skończył już rozmawiać i chciał sfinalizować ustalenia co do naprawy mojego samochodu, ale powstrzymałem go ruchem dłoni. Wyciągnąłem z portfela wizytówkę i wystukałem na klawiaturze numer.

– Panie dyrektorze, mówi Mardoł z kryminalnego. Chciałbym pana zapytać, czy odcinek emerytury, który dzisiaj panu pokazywałem, może odnosić się do świadczenia z koordynacji międzynarodowej?

– Oczywiście, że może – usłyszałem w słuchawce ciepły głos.

– A gdybym podejrzewał, że to świadczenie łączone z polskiego i amerykańskiego systemu emerytalnego, to krąg osób znacznie by się zawęził, prawda? – dopytywałem.

– Naturalnie. Mężczyzn, którzy w ostatnich latach uzyskali emeryturę z urzędu po tym, jak pobierali rentę i osiągnęli powszechny wiek emerytalny, a przy tym mieli okresy stażowe w USA, jest pewnie garstka. Poszukać takich w naszym KSI?

– Co to jest KSI? – zapytałem.

– Kompleksowy System Informatyczny ZUS, jedna z największych i najwydajniejszych farm komputerowych w Europie.

– Świetnie, będę zobowiązany, jeśli dostarczy mi pan pożywną porcję informacji z tej pańskiej farmy – odrzekłem.

– Naszej, nie mojej. KSI to dobro wspólne, niech mi pan wierzy – odrzekł poważnie.



6

Ledwo skończyłem rozmawiać z ZUS-em, na ekranie wyświetlił się numer Boguckiego. Kiedy przesunąłem zieloną słuchawkę, oczy przestępującego z nogi na nogę mechanika cisnęły we mnie grom.

– Ten nasz doktor zajmuje się drugą wojną światową, bada dzieje polskiego państwa podziemnego – oznajmił Robert. – I uważaj, ostatnio opublikował artykuł o ZUS-ie w czasie wojny!

– O Jezu, znowu ZUS – stęknąłem.

– Skądinąd to ciekawa historia. Okazuje się, że Niemcy utrzymali wypłatę świadczeń, choć pieniądze przekazywali nieregularnie i nie zawsze na czas. I w tym wojennym ZUS-ie pracowało wielu akowców. To była taka przykrywka, chodziło o to, żeby mieli pewną kenkartę, aby łatwiej było im konspirować – opowiadał.

– Słyszę, że cię wciągnęło – przerwałem mu.

– A żebyś wiedział. Jest tu też wątek sensacyjny. Otóż w czterdziestym trzecim doszło do zdekonspirowania dwóch wysokich rangą oficerów AK pracujących w ZUS-ie pod przykrywką. To było na początku czerwca, a więc tuż przed aresztowaniem przez Gestapo komendanta Armii Krajowej generała Grota-Ro-weckiego.

– Robercie, to jest rzeczywiście bardzo ciekawe, ale pamiętaj, że nas zajmuje trochę nowsza historia – powiedziałem z przekąsem.

– No to teraz uważaj: do aresztowania tych akowców doszło w mieszkaniu przy ulicy Czerniakowskiej dziewiętnaście! – Bogucki teatralnie zawiesił głos.



7

Mecz zapowiadał się interesująco. Lewandowski jest w wielkiej formie, oby pokazał ją także dzisiaj na Narodowym. Jak Brzęczek ustawi supersnajpera? Czy da mu do pomocy Milika, którego wystawi na szpicę ataku, czy raczej zagra bardziej defensywnie, z jednym tylko napastnikiem?

Jeszcze rano mój umysł zaprzętał tylko mecz Polski z Macedonią Północną. Teraz wydawał mi się odległą, schowaną pod przezroczystym kloszem bieganiną chłopców za główką kapusty.

Siedziałem w bistro przy placu przed Muzeum Narodowym razem z Boguckim, Sochą i Szefem. Zajadaliśmy się ciepłymi tostami z szynką i serem, popijaliśmy latte. Aleją 3 Maja w kierunku mostu Poniatowskiego płynęła nieprzebrana biało-czerwona fala kibiców. Nie interesowała mnie, ba, wręcz przeszkadzała w rozmowie.

Po raz kolejny analizowaliśmy dane, które przekazał nam dyrektor ZUS-u z Mokotowa. Na podstawie tego, co udało się odczytać z zaplamionego krwią odcinka emerytury, oraz po przyjęciu założenia, że jest to łączne polsko-amerykańskie świadczenie, wytypowaliśmy piętnastu mężczyzn. Zleciliśmy chłopakom z prewencji wizyty w ich mieszkaniach. Czekaliśmy na raport.

– Myślicie, że ta historia z wojny wiąże się z naszym nieboszczykiem? – zapytał wprost Szef.

– Boję się takich historii. Za bardzo przypominają mi scenariusze kryminałów klasy B, może i C – odpowiedziałem, biorąc do ust spory łyk zimnawej już latte.

– A ja jestem przekonany, że to się zazębi. Za dużo tych przypadków, żeby to miał być przypadek – zawyrokował Bogucki, który z przejścia nawet nie tknął zamówionego tosta.

Zaterkotała komórka. Dzwonił nadkomisarz Wielemborek, szef stołecznej prewencji, facet, którego nie dało się nie lubić.

– Słuchaj, Filipie. Z tej piętnastki ośmiu przebywa grzecznie w mieszkaniach, dwóch jest w pracy, jeden w szpitalu, jeden w sanatorium, jeden u siostry pod Słupskiem. Brakuje dwóch. Pierwszy to Andrzej Wolanin, zamieszkały ostatnio w Radomiu, drugi to Tadeusz Zawadka, zamieszkały w Łaskarzewie. Pierwszego sąsiedzi nie widzieli od dwóch miesięcy, podejrzewają, że wyjechał do córki do Poznania. Drugiego nie ma mniej więcej od trzech tygodni, natomiast w jego mieszkaniu rezyduje jakiś nieznan nikomu jego-ność.



## 20 października 1939, piątek

Wczoraj dostałam wiadomość od Stefana – pierwszą od czasu mobilizacji. To była kartka ze stalagu, gdzieś w Niemczech. A więc dostał się do niewoli. Najważniejsze, że żyje. Pisał, że jest w obozie razem ze swoimi kolegami z brygady. Wolno mu wysyłać tylko krótkie listy i kartki i to nie za często – dwa listy i dwie karty miesięcznie. Pisać je musi na poliniowanych blankietach z poczty obozowej. Każdy list i karta mają blankiet zwrotny na odpowiedź. Wolno pisać tylko ołówkiem i czytelnie. Dobre i to. Zaraz napisałam mu odpowiedź. Najpierw wzięłam kartkę papieru i napisałam wszystko, co chciałam mu powiedzieć, ale list wyszedł bardzo długi. Wzięłam więc czerwony ołówek i zaczęłam wykreślać mniej istotne zdania. Na koniec zostało tyle, żeby zmieściło się na obozowym blankiecie – że go kocham i tęsknię, że u mnie teraz wszystko dobrze, że pracuję. Rozplakałam się strasznie i długo nie mogłam zasnąć tej nocy.

Z pamiętnika młodego pracownika



Krwawy ślad po emeryturze

– Jak się nazywa? – przerwałem.  
– Tego niestety nie ustaliliśmy. Nie było go – odparł Wieleborek.



8

A więc wiedzieliśmy już niemal na pewno, że nasz nieboszczyk to Tadeusz Zawadka z Łaskarzewa. Mocną przesłanką była zamiana na mieszkania i to w interesującym nas czasie. Sprawa nie była jednak prosta. Jeśli to doktor Krawczyński jest mordercą, może w każdej chwili czmychnąć za granicę. Jest pod obserwacją, nie trzeba być szczególnie byстрым, żeby się zorientować. Należało działać szybko. Z drugiej strony nie mogłem ot tak zatelefonować do USA, poprosić o rozmowę z synem Zawadki i oznajmić mu, że znaleziony przez nas nieboszczyk to prawdopodobnie jego ojciec.

I tym razem mieliśmy szczęście.

– Filipie, jest raport z sekcji zwłok. Bezpośrednią przyczyną śmierci były rozległe obrażenia głowy. Ten drań po prostu rozwaliał mu czaszkę – referował w mojej klitce na drugim piętrze Pałacu Mostowskich aspirant sztabowy Paweł Socha.

– To było do przewidzenia – mruknąłem, nie odrywając wzroku od ekranu laptopa, na którym oglądałem przedmeczowe studio.

– Poczekaj, jest jeszcze coś. Otóż okazało się, że ten człowiek nie miał jednej nerki.

– I co z tego? – Tym razem oderwałem wzrok od laptopa.

– To, że nieboszczyk nie ma nerki, oraz to, że znaleźliśmy jego odciski palców w mieszkaniu w Łaskarzewie, pozwala nam skontaktować się z tym jego synem w Phoenix i poinformować go o śmierci ojca. – Wyczułem, że wraz z każdym wypowiedzianym słowem Socha traci pewność siebie.

– A jeśli to jakiś niesamowity zbieg okoliczności? Jeśli denat to nie Tadeusz Zawadka, ale ktoś, kto był u Zawadki w Łaskarzewie i zostawił tam swoje odciski? Był, bo znali się z wojska, z pracy, z sanatorium, z liceum, z przedszkola, nie wiem, z czego jeszcze?! Wyjdziemy wtedy na nieludzkich idiotów. Musimy znaleźć tego Korzeniewskiego z Czerniakowskiej, żeby nam powiedział, z kim zamienił się na mieszkania – zawyrokowałem.

– A w tym czasie Krawczyński pryśnie za granicę – oponował Socha.

– Nie na długo. Jeśli to on zabił, złapiemy go prędzej czy później – odpowiedziałem, choć nie do końca ufałem swojemu optymizmowi.



9

W końcu zdecydowaliśmy się poprosić o pomoc prywatne biuro detektywistyczne z Pho-

enix. Formalnie zleciliśmy wywiad środowiskowy w rodzinie obywatela polskiego, który – jak sądziliśmy – ostatnie lata spędził w USA. W Arizonie dzień trwał w najlepsze, więc raport z wywiadu mieliśmy dostać najpóźniej następnego dnia rano.

Wróciłem do domu, nalałem sobie mineralnej do wysokiej szklanki, dodałem cytrynę i miętę, rozłożyłem się na sofie i włączyłem mecz w telewizji. Już po pięciu minutach smacznie spałem ze szklaneczką w dłoni.

Obudził mnie oczywiście telefon. Odbierając w pośpiechu, wylałem na siebie zawartość szklanki. Zakląłem siarczyście, po czym wyjaśniłem Boguckiemu, że to nie było ani do niego, ani o nim. Skoro dzwonił, domyśliłem się, że raport z Phoenix rzucił na sprawę nowe światło.

– Siedzisz, Filip? – zapytał z wyczuwalnym napięciem w głosie.

– Tak, siedzę i zaraz będę się golił tępą maszynką. Ogolić i ciebie? – rzuciłem zirytowany.

– Nie musisz. Włosy same ci wyjdą z wrażeń. Nasz Zawadka z Czerniakowskiej i mieszkaniec Phoenix to ten sam człowiek. Rodzina ostatnio rozmawiała z nim trzy tygodnie temu przez Skype'a. Od tamtej pory cisza, ale nikt go to specjalnie nie zaniepokoiło.

– Właściwie to się temu nie dziwię – odpowiedziałem.

– I teraz uważaj: ojciec naszego nieboszczyka służył w czasie wojny w Armii Krajowej i był przysposobionym dla papierka pracownikiem ZUS-u. W czerwcu czterdziestego trzeciego aresztowało go Gestapo, katowali go niemiłosiernie, ale nie zabili. Siedział na Pawiaku, później wywieźli go aż do Dachau. Przeżył wojnę, wrócił do Polski, zmarł w sześćdziesiątym siódmym – opowiadał Bogucki.

– O tym przecież pisał artykuł Krawczyński! – przerwałem.

– Uprzedzałem, żebyś usiadł. To, co powiedziałem, to był dopiero wstęp. Kilka miesięcy temu do pana Tadeusza zamejlował ktoś z Polski. Napisał, że przygotowuje książkę na temat powiązań siatki Ludwika Kalksteina z innymi agentami Gestapo w Armii Krajowej. Nie wiem, czy kojarzysz: Kalkstein to ten, który doprowadził do aresztowania Grota-Roweckiego przez Niemców. No więc ten naukowiec pytał, czy Zawadka wie coś na temat rękopisu wspomnień swojego ojca, który podobno został zdeponowany u kogoś w Warszawie. Pan Tadeusz odpowiedział, że już dawno nosił się z zamiarem dotarcia do tych wspomnień. I panowie umówili się na spotkanie w Warszawie. Jak się nazywa ów naukowiec? – Bogucki lubił w momentach napięcia wymownie zawieszać głos.

– Krawczyński – odpowiedziałem teatralnym szepcetem.

ROZEGRAŁ TO  
TROCHĘ TEATRALNIE.



10



Szef nie lubił dziennikarzy. Miał świadomość, że w historii kryminalistyki jest mnóstwo przypadków, w których media pomogły w rozwikłaniu zawiłych zagadek. Gotów był jednak założyć się z każdym, że i tak zdecydowanie więcej jest sytuacji odwrotnych, kiedy to dziennikarze komplikowali i tak już skomplikowane łamigłówki.

Żadna z prób uczynienia z Szefa medialnej bestii się nie powiodła. Owszem, wytrzymał na szkoleniach dziennikarskich, ale ponieważ problem był w przekonaniach, a nie w predyspozycjach i umiejętnościach, treningi z najlepszymi specami od wizerunku i przekazu medialnego były męką i dla niego, i dla prowadzących, i dla podwładnych.

I oto teraz miał stanąć oko w oko z kamerami wycelowanymi wprost w niego niczym szwedzkie działa w mury Jasnej Góry. Kmi-



rys. I. Myszkiewicz

cic vel Babinicz mógł chociaż do największego wrogięgo działu napchać prochu i je wysadzić. Szefowi nie wypadało nawet o tym pomyśleć. Szwedów do Częstochowy wszak nikt nie zapraszał, dziennikarzy do Pałacu Mostowskich niestety tak. Konferencję prasową zwołał komendant główny policji, którego z kolei nakreślił minister spraw wewnętrznych. Szef miał zreferować chronologię wydarzeń, które doprowadziły do postawienia zarzutu morderstwa ze szczególnym okrucieństwem historykowi doktorowi Szymonowi Krawczyńskiemu.

– Co już o nim wiemy? – Szef nerwowo stuknął długopisem o notes, w którym co jakiś czas zapisywał kilka wyrazów, po czym brał je w ramki, obrysowywał szlaczkami, dorysowywał koła, skrzydła i lufy armatnie. Jego zdenerwowanie wisiło w powietrzu i – co tu ukrywać – coraz bardziej udzielało się także i mnie.

– Najprawdopodobniej był wnukiem oficera AK, który w czerwcu czterdziestego trzeciego

zdekonspirował swoich kolegów zatrudnionych pod przykrywką w okupacyjnym ZUS-ie. Na razie nie przyznaje się do winy, odmawia składania zeznań, ale nie sądzę, żeby długo tak wytrzymał – referował Bogucki.

– Ale co to było, likwidacja pośredniego świadka? – dopytywał Szef. – Bez sensu.

– Zawadka miał coś, co było dowodem winy dziadka Krawczyńskiego – odpowiedział. – Chodzi prawdopodobnie o te wspomnienia ojca. Zawadka znał ich treść, mógł się więc zorientować, kim jest Krawczyński. Zwodził go, że dopiero zastanawia się nad odzyskaniem rękopisu, a na razie proponuje spotkanie w Warszawie. Krawczyński przyszedł, nie wiadomo, czy coś podejrzewał, ale adres na pewno dał mu do myślenia. Kiedy Zawadka oznajmił, że wie, czyim wnukiem jest doktorek, zaczęli się szarpać i Krawczyński sięgnął po młotek.

– No właśnie, skąd wziął się tam młotek? – Szef nie przestawał bębnić długopisem w notes.

– Na ścianie wiszą małe portrety wnucząt Zawadki. Może tego samego dnia albo dzień wcześniej wbijał gwoździe, położył młotek obok kanapy i zapomniał odnieść na miejsce – interpretował sytuację Bogucki.

– Czyli zbrodnia w afekcie? – bardziej skwitował niż zapytał Szef.

– W afekcie, który gwałtownie obudził się po prawie osiemdziesięciu latach – skonstatawałem znużony.

– Ale dlaczego w tej samej kamienicy, w której doszło do dekonspiracji w czterdziestym trzecim? – Szef nadal nie mógł w to uwierzyć.

– Zawadka był w Polsce rok temu – wyjaśnił Bogucki. – Mieszkał wtedy w Łaskarzewie, załatwiał sprawy związane ze swoją emeryturą w ZUS-ie. Wtedy prawdopodobnie odzyskał od kogoś rękopis wspomnień wojennych ojca, miał czas, żeby sprawdzić wszystkie fakty. Niedługo potem przyszedł mejl od Krawczyńskiego. Zawadka znów przyleciał do Polski, namówił lokatora z lokalu pięćdziesiąt dwa przy Czerniakowskiej dziewiętnaście do czasowej zamiany mieszkań i tam umówił się z doktorem. Rozegrał to trochę teatralnie. Ten młotek był tam chyba jednak przypadkowo, nie sądzę, żeby spodziewał się aż takiej reakcji Krawczyńskiego. Historia niestety wciąż może budzić demony. – W ostatniej wypowiedzi Boguckiego zabrzmiał rzadko u niego spotykany smutek.

## 23 października 1939, poniedziałek

Dziś nasz Naczelny Dyrektor, pan Skokowski, zwołał posiedzenie dawnych dyrektorów. Odkąd przyjechali niemieccy komisarze i zajęli miejsca w naszej dyrekcji, nasi dyrektorzy zostali już tylko jako kierownicy działów. Dyrektor Skokowski polecił, aby Komitet Opieki nad Pracownikami Instytucyj Ubezpieczeń Społecznych i ich Rodzin, który powstał tuż przed wojną, podzielili się na sekcje zajmujące się: opieką nad wysiedlonymi, pomocą rodzinom kolegów wywiezionych do obozów jenieckich i koncentracyjnych, opieką nad jeńcami i więźniami, pomocą dla osób pochodzenia niemieckiego, pomocą lekarską oraz opieką nad dziećmi. Aby łatwiej było się tem zająć, utworzono Spółdzielnię Spożywców, Komisję Rewizyjną Kuchni i Komisję Mieszkaniową. Wszyscyśmy zadeklarowali, że będziemy płacić składkę na komitet – 3% naszych poborów. Będę mogła poprosić komitet o pomoc – przecież Stefan jest w stalagu. Chciałabym posłać mu paczkę, trochę jedzenia, może ciepłą bieliznę, a na razie nie wiadomo, czy wolno im posyłać cokolwiek. Szkoda by było, gdyby te rzeczy miały przepaść.

Pan dyrektor Skokowski przekonał niemieckich komisarzy, aby wszystkie decyzje o przyznaniu zasiłku były zapisane po polsku i po niemiecku. W decyzjach dotyczących Niemców mamy wypełniać tylko część w języku niemieckim, a dla Polaków będzie podpisywana przez polskie kierownictwo część w języku polskim. Opracowania wewnętrzne będziemy sporządzać w języku polskim, a tylko ich streszczenia tłumaczone będą na niemiecki. Dobrze, że nasi renciści dostaną dokumenta pisane po polsku.

Rozmawialiśmy dzisiaj z kilkoma koleżankami, jak też można obejść te wszystkie niemieckie porządki. Każda obiecała, że pomyśli o tem. Wiadomo, wszystkiego się nie da, ale może chociaż część uda się złagodzić.

Pani Róża nie podpisała oświadczeń i dziś dali jej dymisję. Może pracować tylko do końca miesiąca. Trzeba będzie zorganizować jaką pomoc także dla niej.

*Z pamiętnika młodego pracownika*

